

Amilkar Kosiński

Wydział Filozoficzno-Historyczny UŁ

**Tatarskim szlakiem...
(fragment „Dzienników rowerowych”.
Trasa Łódź–Czeremcha–Sejny, 2008 r.)**

*„...Każdy obszar, który człowiek widzi naokoło domu,(...)
Jest jego Wszechświatem:
Na jego krańcach słońce wschodzi i zachodzi(...)
A jeżeli człowiek przeniesie swoją siedzibę,
Jego niebo też się przeniesie...”
W. Blak’e, Milton, tłum. Cz. Miłosza*

Tytułem wstępu

Poniższy tekst wręczyłem znajomemu z uprzejmą prośbą o przeczytanie. Co za tym idzie, o opinię. Znajomy jest uczonym. Pracownikiem państwowej uczelni wyższej. Tekst przejrzał. Określił go mianem – literatury zbędnej.

Zasepiłem się.

Zdawałem sobie sprawę z rozlicznych niedoskonałości mego dokonania. Z braku warsztatu naukowego. Braku przypisów, odsyłaczy. Braku odważnie stawianych tez, nadmiaru hipotez. Rażącem braku precyzji, przy definiowaniu celu literackiego przedsięwzięcia. Tak, w tym względzie to literatura zbędna. Zbędna, bo pisana emocjami. Emocje wynikające z rowerowych wypraw po zakątkach Polski były najsilniejszą motywacją. Te legły u podłoża – „definicji celu ogólnego”.

Wyprawy stały się dla mnie idealnym sposobem spędzania wolego czasu. Ich walorem było poczucie nieograniczonej swobody. Możliwość docierania do nieznanymi rejonów kraju. Nawiązywania znajomości ze spotykanymi ludźmi. Organizowania czasu w sposób absolutnie dowolny, od nikogo niezależny. Fotografowałem. Słuchałem muzyki. Wypoczywałem znakomicie i w pełni. Wracałem naładowany przeżyciami. Snułem o nich opowieści.

Później udało mi się wciągnąć w nie najbliższych.

Pomysł utrwalenia na papierze wyjazdowych wspomnień chodził mi po głowie od dawna. Konkretnej realizacji doczekał się dopiero w 2008 roku. Wtedy zacząłem notować obserwacje. Przebiegi tras.

Opisy w „Dziennikach rowerowych” (jak je nazwałem), zawarłem w częściach odpowiadających wyprawom w poszczególnych latach. Jesienne i zimowe wieczory zarezerwowałem na uzupełnianie notatek. Sięgałem do historii zwiedzanych miejsc, opatrywałem komentarzami ze spotkań.

Zapisy to osobiste refleksje. Rodzaj reportażu. Fascynacja prowincją. Podziw dla piękna jej krajobrazu, dla bogatej, historycznej przeszłości terenów którymi podążałem. Komentarze do zastanej rzeczywistości. Niejednokrotnie krytyka tego co terazniejsze. Wszak *Panta rhei*. Dokładałem starań, by wiernie oddać atmosferę wypraw. Opisywałem miejsca których brak na ogólnych mapach. To nie umniejszało ich urody. A może potęgowało egzotykę?

Nie chciałem tworzyć przewodnika turystycznego, ale może zachęcę bardziej wnikliwego czytelnika do zajrzenia tam?

Czeremcha 08.08.2008

(...) Ruszałem z gościny u leśników w Kuzawce. Kierunek Opaka Duża. Chciałem wzdłuż granicy z Białorusią wjechać w Puszcę Białowieską. Po długim pakowaniu, właściwie żadnym śniadaniu (kawa), ruszyłem. Droga przez Opakę, to droga wymarzona. Wiodła lasem. Chłód cienia, rozkosz. Wokół gęsto od krzewów rosnących między drzewami. Nawierzchnia dobra, ubita, trochę pofałdowana.

Jechałem powoli, rozmyślając. Niezwykle gościnni byli moi gospodarze. Korzystałem z ich uprzejmości po raz drugi. Pozostawałem nimi zauroczony. Wciąż pełen podziwu dla ich stylu życia w tej leśnej głuszy. Ich spokojem, wzajemnym szacunkiem. Poprzednio byłem tam parę lat wstecz. Przesiadaliśmy wtedy, dwa wieczory z rzędu w kuchni, przy piwie, rozmawiając o wszystkim. O naszych dzieciach, rodzinach.

Ciągnęli do nich różni „wielbicieli natury”. Najwytrwalsi nie wiedzieć jak, dotarli do Czeremchy i Kuzawki wykwinnym samochodem marki trabant. Przywieźli ze sobą dzieci, babcie i psa. Ślężacy. Przyjeżdżali do państwa Marii i Bogdana przez parę lat. Anektowali na czas wakacji podwórko i przyległości. Gospodarze opowiadali jak wyglądało życie letników. Wyłaniał się obraz osoby, która wszystko trzymała żelazną ręką, kierując z tylnego siedzenia. Babcia, urodzona turystka, gotowa do wypraw i obozowego życia. Później poukładało się tak, że przestali zaglądać. Dzieci podrosły, trabant już nie chciał ich wozić. W Kuzawce natomiast, pozostała atmosfera przyjacielskiego tolerowania obcych.

Teraz, choć wpadłem jak do starych znajomych było gościnnie, ale na dystans. Siedziałem sam, w deszczu, pod okapem budynku. Robiłem notatki w Dzienniku Podróży. Nikt z gospodarzy nie wyściubił nosa. Nie było wieczornych posiadówek przy piwku. Pan Bogdan sporadycznie dopytywał, czy czegoś mi nie trzeba.

Wczoraj gospodarz zaprosił do domu. Próbowaliśmy odtworzyć atmosferę. Wspominki, opowiadania. Weszła do kuchni pani Maria. Rozpoznałem ją z trudem.

Pomagała mężowi w pracach leśnych, znacząc drzewa do wycięcia. Atakowały ją przy tym kleszcze. Nie traktowała tego jako zagrożenia. Tymczasem weszła osoba której nie poznałem. Poruszała się z ogromnym trudem. Zmieniona na twarzy. Konsekwencja kleszczowych ukąszeń. Choroba leśników, borelioza.

W lesie, nagle pojawiła się granica. Słupy graniczne po prawo, kilkaset metrów jechałem równolegle. Między słupami pas ornej ziemi. Kiedyś zniknie. Teraz taka rzeczywistość. Wjechałem do Opaki. Wieś stara, smętna, opuszczona, dzika i piękna. Po drodze na leśny cmentarz. Nagrobki opisane cyrylicą, kolorowe. Stało ich kilkanaście. To wszystko.

Dalej żmudnie, długimi odcinkami gęstego, krzaczastego lasu, po asfaltowej drodze, do Topiła. Topiło, to chyba pięć chałup i zalany wodą las. Od napotkanego miejscowego dowiedziałem się, najważniejsza chałupa we wsi, niedostępna dla oczu, to sadyba byłego premiera. Proszę, zaszył się w ostępach, jak na prawdziwego socjalistę przystało !

Robiłem dużo zdjęć. Rzeczka zwała się Perebel – a widok z mostu, to pejzaż nie z tego świata. Zalane pnie wierzb, kwitnące górą! Na rzęsie pływające kaczki, przed obiektywem zlewające się z tłem. Obsiadły mnie zgodną zgrają komary. Trzeba było jechać. Asfalt skończył się i wjechałem gruntową, czarną drogą w Puszcze Białowieską.

Zdaję sobie sprawę, przejeżdżając tamtędy, liznąłem tylko z wierzchu. Smak poczułem od spodu. Puszcza wokół była piękna, gęsta i mroczna. Podobna do lasu z okolic Kątów w Beskidzie Niskim. Krzaki, osty, trawy. Drogi coraz bardziej ciężkie, coraz bardziej piaszczyste. Strasznie się namęczyłem. Zrobiłem po lesie 75 kilometrów. W nogach czułem ze dwa razy tyle. Gdzieś tam, stuknęło 500 kilometrów od wyjazdu z domu.

Przez Białowieżę przemknąłem szybko. To, co tam stanowiło esencję, to dla mnie ciężkostrawna mieszanina stylów. Od drewnianej architektury z głębi Rosji (dom Gubernatora), przez ceglana, neogotycką cerkiew, która równie dobrze mogłaby być w Łodzi, po nowoczesnie stylizowany budynek dyrekcji Białowieskiego Parku Narodowego. Do tego nijaki hotel, budynki towarzyszące i tym podobne.

Najpiękniejsze były dęby, na tyłach współczesnego pałacu, budynku dyrekcji BPN. Liczyły ćwierć tysiąca lat. Posiedziałem, popatrzyłem, odsapnąłem i w drogę.

Rzut oka na Narewkę. Prowincjonalna, urocza, schludna. Cerkiew i cmentarz obok, z kamiennymi nagrobkami ubłękitymi farbą. Na tyle pomnika siedziała z rozpostartymi skrzydłami ważka. Wielka. Fantastyczna. Kształt jej ciała upodobniony do krzyża i to prawosławnego. Miałem wrażenie, zrywając się do lotu, porwie ze sobą błękitnospłowiąły kamień nagrobny. Wykonałem obowiązkowe zdjęcia cerkwi i okolicy.

Po czasie, gdy pisałem te słowa dotarło do mnie, cały dzień spędziłem jadąc przez las.

Z nisko schodzącym nad horyzont słońcem pojawiła się myśl o szukaniu noclegu. Znalazłem go w Gruszkach u gadatliwej pani Grażyny Bojko i jej sepego, ale serdecznego męża. Namiot rozłożyłem przed domem. Powyciągałem gary szykując wieczorny posiłek. Tuż obok na łańcuchu szarpała się na mój widok szalona suka, szczekająca przez całą noc. Rano miałem okazję przekonać się, nie tylko szczekała. Wisząc na uwięzi podkopała plac przed budą, prawie na głębokość metra. To z niechęci do obcego.

Kruszyniany. 09.08.2008

Wyruszyłem rano, pogadując sobie przy pakowaniu roweru z podejrzliwym Bojko. To pogadywanie musiało mi wystarczyć zamiast śniadania. A potem jazda !

Do dziś mam przed oczami drogę do Siemianówki. Z prawej, na horyzoncie, pas Puszczy Białowieskiej. Z lewej otwarte i wielkie przestrzenie. Nieliczne wsie. Droga asfaltowa, urokliwie kręta, obsadzona brzożami. Pobocza porośnięte wysokimi trawami. To wszystko w ruchu. Wiało, kładąc brzozy w jedną stronę. Na poboczu, w polu i przy małych sadzawkach bociany, sztywno i pilnie wypatrujące czegoś na przekąskę. W pewnej chwili tuż obok mnie poderwał się ciężko do lotu czarny bocian. Zdążyłem zrobić zdjęcie. Jemu i jego cieniowi, identycznie czarnemu.

Parę zdań skreśliłem siedząc na moście, krok przed Świsłoczanami. Mostek drewniany. Dołem płynęła Kołodziejanka, nikczemna struga, ale urocza. Górą wiało. Wokół zaś upał i błękit nieba. Żniwa w pełni. Rzeczywistość jakże odmienna od tej w Czeremsze.

Od Narewki, a może trochę wcześniej, niezauważalna zmiana krajobrazu. Domy drewniane, malutkie. Okna z okiennicami jak z bajki. Okolica też bajkowa. Wielkie przestrzenie, różna odcienie zieleni. Ptaki wokół i wielki spokój. Można rzec, śmierdząca nuda. Tak jak w mijanej w południe Jałówce. Tam to nawet pasował tuwimowski tekst: „... na stacji Chandra Unyńska, gdzieś w mordobijskim powiecie...” i drogi !!! Popralkowane, szutrowe i pylące. Trzęsło jak cholera. Połamał się przedni bagażnik. Bardzo ciężko było jechać, ale pięknie. Olśniewająco pięknie. Do Krynek niepełne trzydzieści kilometrów.

Chałupy w zdecydowanej większości proste, z wysokimi spadzistymi dachami. Całe gospodarstwa, jak dostrzegłem przejeżdżając, odwrócone „plecami” do drogi. To było zagłębienie wikliniarskie. Przy każdych zabudowaniach stało mnóstwo „chochołów” suszącej się wikliny, wysokiej na dwa, trzy metry.

Szczególnie urokliwe były przydrożne, drewniane krzyże prawosławne. Obowiązkowo ustawiane parami. Jeden zawsze wyższy. Przewiązywano je pod poprzeczną belką kolorowymi wstęgami. Były piękne, charakterystyczne i malownicze. Fotografowałem je z upodobaniem.

Festiwal takich krzyży był dopiero przede mną. W małej Siemianówce, do której dojechałem. W środku wsi, najważniejszym budynkiem była odnowiona cerkiew. Niewielka, śnieżnobiała rotunda, zwieńczona dachem z zielonej blachy i krzyżem na szczycie. Przy wejściu żeliwna płyta z napisem cyrylicą : „*Tysiaclecie kreszczenia Rusi 988–1988*”. Wokół pozostałość cmentarza, czyli krzyże. Od stareńkich, drewnianych poczawszy, pochylonych i zapadłych w ziemię, ustawionych parami, po odnowione i pięknie wykonane metalowe. Kunsztowna kowalska robota oplotła je wymyślnymi ozdobami. Te z lat pięćdziesiątych XX wieku wykonano z lastrika, betonu, nawet żebrowanych prętów zbrojeniowych. Murowane nagrobki obowiązkowo z miejscem po wytłuczonym porcelanowym zdjęciu, stały w szeregu wzdłuż ogrodzenia. Drewniane, słaśniały się po zakamarkach cmentarza. Parę się ostało. Próbowałem doczytać inskrypcje zapaćkane wapnem lub zieloną farbą olejną. Niektóre były czytelne : *Julian Iwanow, rodilsia 1907 goda. Pogib na pole bitwy 1941 goda. Mir prachu jego*. Były i starsze, jak ten Mariny Bobrowskiej. Rodzonej w 1890, a zmarłej w 1924.

Wartowały bezimiennie w miejscach dawnych mogił. Teraz wśród dokładnie wykoszonej trawy.

Pod cerkwią, na małym popasie dla przejeżdżenia, studiowałem mapę. Jezioro Siemianówka znajdowało się obok. Właściwie to zbiornik retencyjny utworzony na Narwi. Zaczynał się dokładnie na granicy z Białorusią. Ciągnął na północny – zachód, za wieś Bachury. W poprzek biegła linia kolejowa, z Hajnówki na wschód. Ciekawiło mnie, bo trudno było to wyczytać z mapy, po czym biegł tor? By zaspokoić ciekawość ruszyłem. Woda otoczona była wałem. Liczne tory kolejowe przed nią, zbiegały się w jeden. Po betonowej grobli biegł na drugą stronę granicy. Na samym środku, gdzie nurt Narwi, tor prowadził po stalowym, kratowym moście. Dopytywałem miejscowych o możliwość przejechania tamtędy rowerem. Odradzali. Grobla była wąska. W przypadku spotkania z nadjeżdżającym pociągiem, musiałbym salwować się skokiem na rowerze do wody. Może innym razem.

Objechałem wielką wodę od zachodu i północy. Jechałem przez Bondary, Rybaki i Bachury. Szukałem skrótu. Jak to u mnie bywa, skrót to droga przez zaśmiecony las, po kopnym piachu. Było ciężko. Rower miejscami prowadziłem, aż do asfaltu. Z lasu wyjechałem na szosę na której napotkałem babinę z „zajęczą wargą”. Ciągnęła za sznurek bywszy dziecinny wózek. W odpowiedzi na pytanie

o drogę, wydmuchała mi przez nos, jak jechać na Jałówkę. Teraz wiem, że owa nazwa tyczy także jałówki mentalnej.

Na wjeździe do wsi urzeczony patrzyłem na złoconą kopułę nowoczesnej, murowanej cerkiewki pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego. W pełnym słońcu lało się z niej najczystsze złoto. Kłuło w oczy, czyja wiara ważniejsza. Ryneczek przedziwny, mały, trójkątny. Właściwie skwerek. Dwa, trzy sklepy wokół. Obsypane szczodrobliwie wianuszkami śmiecia z plastikowych i szklanych butli, pozgniatanych puszek po piwie. Jałowy upał, nuda, smętek i upadek.

Kilkadziesiąt lat wstecz, przed II wojną, żyło tam pięć tysięcy ludzi. Polacy, Białorusini, Żydzi. Tych z tej liczby prawie połowa. Były dwa kościoły katolickie, cerkiew i dwie synagogi. Przeminięło.

Siedziałem na skwerze w cieniu. Spod sklepu przyglądało mi się dwóch miejscowych. Jeden o aparycji Kuby Rozpruwacza. Sączyli piwo pogadując przy tym coś do siebie. Mieli wdzięczny obiekt do obserwacji. Zbierałem się stamtąd. Za namową pani sklepowej podjechałem pod ruiny kościoła. Budowano go od 1908 r. Dotrwał do II wojny. Wtedy zajęła się nim *Deutsche Jugend* z Wehrmachtu.

Fotografowałem z upodobaniem. Niezwykle malowniczo przez zrujnowane kapitele kolumn przeświecało słońce, ukazując przedziwną urodę tego miejsca. Wokół stare drzewa, piękne lipy. Także chęchy, zarośla, ruiny plebani i zabudowań gospodarczych.

Po drugiej stronie drogi znajdował się cmentarz. Zostawiłem rower przy bramie. Poszedłem szukać wśród sosen grobu Bohatyrowiczów. Tych z rodu Jana i Cecylii, uwiecznionych przez Elizę Orzeszkową. Mówiła o tym cmentarzu pani ze sklepu. Niestety, nic z tego nie wyszło. Nie znalazłem mogiły. Dostrzegłem natomiast dziwne ludzkie postacie przemykające w cieniu zarośli. Zbyt daleko odszedłem od mego pojazdu. Na nim cały dobytek, wracałem śpieszno...

Od cmentarza, w lewo droga wiodła ku granicy. Przejechałem kilkaset metrów pośród lasu i zatrzymała mnie brama graniczna, pomalowana na biało – czerwono. Co za widok. Nie drzwi, tylko brama do lasu. Za nią resztki asfaltu, kamienie. Dziury pozarastane w załomkach rachitycznymi krzaczkami – Białoruś. Widok ścisnął gardło. Wróciłem do „city”.

Za cmentarzem ujrzałem wylęgarnię przedziwnych mar szwendających się w biały dzień po cmentarzu. Dom Pomocy Społecznej. Jechałem dalej, nikt nie wołał.

Warto było przelecieć tamtędy. Efektem, zdjęcia pawilonu z białej cegły. Przed nim rampa. Kraty w oknach. Po sąsiedzku sklep GS, nad wejściem szyld – „Bar Disco Czar”. Tego się nie da opisać, to trzeba zobaczyć !

Wiatr skutecznie hamował jazdę. Był tym silniejszy, że wokół Jałówki rozścielały się pola po horyzont. Żniwa w pełni. Na polach kombajny. Wielkie zgarbione żuki, zapamiętałe wgrzyzały się w łany. Za nimi, z kłębów opadającego

zbożowego pyłu, wylaniały się nierealnie wyglądające na tych pustych przestrzeniach, ogromne walce zrolowanej słomy.

Za Jałówką zaczęła się biała, pyłaca gruntówka. Pralka i piasek. Żar z nieba. Mknęły po niej w kurzu czarne, stare audi. „Białorusy” – mawiali miejscowi, odprowadzając ich wzrokiem.

Mijałem traktory, ciężarówki z naczepami jadące po zboże. Granica była blisko. Słupy graniczne na jej linii raz wyżej, raz niżej. Na łąkach, polach, pod lasem. Piękne widoki wokół: niebo w obłokach, ziemia w zieleni. Kwiaty na łąkach. Osty, krzewy przy drodze. A na niej tragicznie trzęsło, zaczynałem złożyć.

Wsie niesłychane. Pogubione w tych odległościach i przestrzeniach. Wewnątrz zwarte. Ulicówki. Chałupy małe, kształtne i proporcjonalne. Psy ujadają, a przy domach pusto. Gdzieniegdzie jakaś starowinka czy dziadek siedzący na ławeczkach, w cieniu drzew.

Byli też nowi. Z miasta. Na podwórku obowiązkowo motoryzacyjny produkt rodem z Ingolstadt. Obowiązkowo w kolorze czerni. Z musu pełnoletni. Podwórka i domy schludne. Niektóre pięknie urządzone. Ze smakiem, z zachowaniem stylu. Z odnowioną stolarką zdobień nad i podokiennych. Zdobione były naroża domów, okiennice. Tak do Bobrowników. Drogę przeciął mi rząd tirów, w łukaszenkowskiej celnej kolejce. Przejechałem ten kawałek asfaltem. Zaraz potem, o zgrozo, znów szutrówka. Jeszcze gorsza, jeszcze bardziej rozjeżdżona.

Za cel miałem Kruszyniany. Planowałem, może udałoby się pociągnąć tego dnia dalej. Póki co, chciałem zwiedzić meczet. Pytałem miejscowych, tłumaczyli. Dokładnie. Za chwilę byłem poza wsią, przy dwóch dziwnych, drewnianych krzyżach. Zawróciłem. Przed domem na początku wioski siedział chłopak. Doppytywałem kolejny raz. Przy okazji o agroturystykę. Dowiedziałem się gdzie meczet. Tłumacząc, zaproponował, bym został u nich – pola dość, jest gdzie postawić namiot.

Zgodziłem się chętnie, padałem na twarz. Ale jeszcze meczet no i... zakup piwa, jako wkupnego.

Zaskoczyła mnie ta budowla. Jej eklektyzm był niezwykle delikatny. Mieszanka stylistyczna drewnianej cerkiewki, wiejskiego kościółka, z odrobiną islamskiej symboliki. W środku prosto, skromnie, wręcz ubogo. Dywany miękkie i gościnne. Czulem wewnątrz przyjazną aurę. Chodziłem bosą stopą. Słuchałem przewodnika, Dżemila Gębickiego. Ten z kitką na tyle głowy wyglądał, jakby przed chwilą odłożył gitarę i zszedł ze sceny.

Gębicki... – swojsko brzmiące nazwiska: Aldukiewicz, Abakanowicz, Apanowicz, Aleksandrowicz, Assanowicz, Azulewicz, Baranowski, Buczacki, Bazarewicz, Chalecki, Dawłaszewicz, Jabłoński, Jasiński, Kryczyński, Krzeczowski, Ledziński, Łoś, Sielecki, Michałowski, Mucha, Murawski, Olejowski, Popławski, Romanowski, Rudziewicz, Safarewicz, Seweryn, Skirmut, Smolski, Sobolewski, Sokołowski, Sulimowicz, Telkowski, Wilczyński, Zabłocki, to potomko-

wie rodów tatarskich. Ich przodkowie w XIII wieku siali grozę wypadami dzikich hord. Potem przez stulecia wrastali. Asymilowali się, trwając przy swej wierze. Potrafili współistnieć. Pokochać nową ojczyznę. Utożsamiać się z nią. Na dowód, chlubne karty w historii działalności politycznej, społecznej i wojсковej Tatarów polskich.

W XV i w XVI wieku Tatarzy osiedlali się, korzystając z królewskich nadań wieczystych. Nie za darmo, za obowiązek służby wojennej. Dla nich niepłatnej. Wiek XVII szybko to skorygował. W 1683 r. Tatarzy skupieni pod chorągwami Rzeczypospolitej brali udział w wojnie z Turkami, pod Wiedniem i Parkanami. Rzeźli niewiernych i współbraci w wierze. Łupy wojenne same pchały się w ręce.

W czasie pierwszego dnia bitwy pod Parkanami, 7 października 1683 roku, oddziały tureckie pod wodzą Kara Mehmeda zaskoczyły króla Jana Sobieskiego. Według podania, król poległby, gdyby nie odsiecz dzielnego żołnierza. Własnym ciałem osłonił władcę. Żołnierz to Samuel Murza Krzeczowski. Tatar, w rzeczy samej. Pułkownik na czele chorągwi 60 koni. Jego ludźmi byli muzułmanie spod Krynek.

Wybawiając Jana III z opresji, zmienił bieg historii. Turcy w przekonaniu że to królewskie trofeum, uwieźli z pola bitwy odciętą głowę wojewody pomorskiego Władysława Denhoffa. Był bliźniaczko podobny do króla. Ten w tym czasie konsolidował siły. 8 października stawiał czoło szykom tureckim. Rozgromił je. Ile prawdy w tym przekazuje?

Faktem pozostaje; pułkownik Samuel Murza Krzeczowski i jego podkomendni otrzymali od króla wsie: Kruszyniany, Łużany i Nietupę. Rotmistrzowie Bohdan Kieński i Geza Sielacki otrzymali dużą część wsi Podlipki. Ich żołnierze Bohoniki i Drahle. Pod Sokółką nadanie otrzymał oddział rotmistrza Olejowskiego.

Tu zmieniono zapis. To także były nadania wieczyste z obowiązkiem służby wojсковej. Nie darmowej jednak jak 100 lat wcześniej, tylko zaciężnej.

Warto wspomnieć, że wielkość nadziału ziemi była uzależniona od pełnionej funkcji wojсковej i zasług. Dowódcy, oficerowie, mieli możliwość tworzenia folwarków. Brać chorągwiwana – gospodarstw. Dziś trudno rozpoznać wielkość zasług. Kruszyniany i Bohoniki to wsie. Nieodległe Krynki to miasteczko.

Po wyjściu z meczetu delikatnie stawiałem stopę. Wszak to ziemia uświęcona śladami królewskiej historii. Jak podają źródła, król Jan III w pięć lat po odsieczy, w 1688 roku, w drodze na sejm grodzieński, dwukrotnie zaszczycił swego obrońcę Krzeczowskiego osobistą wizytą w Kruszynianach. Się działo...

Czas wracać do moich gospodarzy. Trzeba rozparcelować się na noc. Wjechałem na podwórko. W szopie pełniącej rolę letniej kuchni gospodarzyła obfita dama, w roboczo uświnionej koszulce na pełnym biuście. Wokół rozpościerał się swojski bałagan. Uzupełniony w każdym kącie azbestowymi płytami. Schły sągi drewna na opał. Trwał w bezruchu stary traktor. Na jego masce grały się koty.

Zaraz też obszczekała mnie swołocz na łańcuchu. Druga taka, czarna, bez przedniej łapy, kuśtykała merdając ogonem.

Tłumaczyłem od furki grubasce po co tam się zjawiam. Podejrzywałem, zapraszającym był syn. Za chwilę odnalazł się mój cicerone. Ten o imieniu Marek.

Wybierałem miejsce pod namiot. Na dołku źle. Podszedł chudy *tatu*. Namawiał zmienić miejsce, więc to uczyniłem. Gadali ze sobą po białorusku. Nic nie szło pojąć. Marek robił za tłumacza. Był serdecznie gościnnie. I gadał, gadał, gadał:

– Wieprzka ja utuczył, ze trzysta kilo, – nie mógł go ubić. Latał za nim z pięciokilowym młotem po podwórku. Wieprz ani myślał rezygnować. Zrezygnował po trzecim razie.

– Kuzyn. Powiesił się był !

– Brat. Też się powiesił ! O tu w stodółce. Kolega ze wsi też. Był i jeszcze jeden, z którym Marek drewno zrywał – co to, jakaś moda na wieszanie?

– Aha ! Białorusinkę, narzeczoną, tir wałnął na drodze. O, trzeba było zbierać... !

Mama śpiewnie krzyknęła coś do Marka. Odszedł. Zakradł się *tatu*. Chudzina. Portki spięte paskiem pod pachami. Czapka na małej głowie. U nosa wiślała kropla.

– Porządny rower – rzekł – Byle ... takim nie pojedzie – zaśmiał się. Ściszył głos. Szeptem opowiadał o tych co się wieszali. Potem, jak jeździł na rowerze, po weselach. Z akordeonem Weltmeister, 120 basów. Woził go na plecach.

W domu ma dwa. Jeden do naprawy. Basy przedmucha. Może wie – spytał – czy w mieście by kto grał na takim?

O, zna różne piosenki, zna ! A nazywa się Czarniecki...

Zaczął mi cicho nucić: „*Jak Czarniecki do Poznania...*”

Ja pochylony nad rowerem przy rozpakowywaniu sakw. On pochylony nad mną. Tak śpiewaliśmy hymn na dwa głosy. Zaintonował cicho coś jeszcze. Z rosyjska. Później pieśń na melodię hymnu amerykańskiego. Zamilkł i poprosił, bym Markowi nie gadał co on tu, bo ten na niego wskoczy. Na koniec wziął kosę i poszedł za dom. Klepał ją z konsekwencją dzięcioła.

Nadszedł Marek. Cmił autentyczną machorkę w gazetowej tutce – Tatowy wyrób – chwalił – jak takiego pociągniesz, we łbie karuzela !

Podzieliłem się piwem. Gotowałem zupę. Żur z torebki zagęszczałem łychą smalcu, ze słoja. Marek łykał ślinę, więc się podzieliłem. Chwalił. Jadł powoli. Powoli, bo go bolały wszystkie zęby. Wszystkie !

– Wszystkie do wymiany, bo z dziurami – śmiał się.

Tatu zjawił się niespodzianie. Dulczał o grabie. Zostały w polu. Marek krzyknął na niego:

– Toż ja szukał. Ja się uchodził, aż się urosił...

Kładłem się spać. Byłem umęczony, ale nici ze snu. Ciapek na łańcuchu warczał i szczekał prawie całą noc, tuż nad moją głową.

Noc była chmurna. Spodziewałem się deszczu, ale z tego także nic nie było.

Rano po 6 pobudka. Pod namiotem czekał Marek z talerzem świeżo nasmażonych przez matkę placków kartoflanych, ze śmietaną i cukrem. Chwilę potem, po spakowaniu się, zrobiliśmy sobie zdjęcia, na wieczną rzeczy pamiątkę. Gdy przepychałem się przez furtkę, mając przed sobą nowy dzień, z liczby tych które mi pozostały do dyspozycji, mama Czarniecka spytała, jakiego jestem wyznania...

Oni katolicy.

Tak minęła mi noc w Kruszynianach. U polsko – białoruskich katolików, pośród dziczy tatarskiej.

Różanystok. 10.08.2008

„Szlak tatarski” dla którego Kruszyniany były bramą wjazdową, wiódł otwartymi terenami. Przepiękne krajobrazowo, wymagające w upalnej sierpniowej aurze żmudnego wysiłku. Rzadko pojawiały się domy, większe skupiska ludzkie. O sklepach nie wspomnę. Droga wiodła wśród pól, sadów i plantacji czarnej porzeczki. Te ostatnie były odgradzane siatką od trasy. Miały charakter wielkich upraw. Początkowo zaskakiwały mnie, gdzieś tam na pustkowiu, zaparkowane wzdłuż ogrodzenia sznury aut. Gdy podjeżdżałem bliżej, okazywało się, była tam brama wjazdowa.

Miejscem gdzie odpoczywałem, by napić się wody, były przystanki autobusowe. Dawały trochę cienia i wytchnienia. Wiał nieprzyjazny dla mnie, północno-wschodni wiatr. Nie chłodził. Skutecznie hamował. Ratowałem się słuchaniem muzyki. Jak zawsze niezawodny był Staszek Soyka.

Pierwsze miasteczko za Kruszynianami, do którego dowiódł mnie „szlak tatarski”, to Krynki. Senne, prowincjonalne. Zrobiłem zakupy. Przycupnąłem na rynku, na ławeczce, z przewodnikiem w rękę. Ani słowa o Tatarach. Najwięcej o Żydach. Nic dziwnego. Byli w tym miejscu licznie od XVI wieku. Populacja zaczynała się od kilkuset, by w przeddzień I wojny światowej osiągnąć liczbę 9000, na ogólną liczbę 10 000 mieszkańców. Toż to 90 %. Niezły wynik. Czytałem, co też mieli tam do roboty: – handel, oberże, propinacja. Pod koniec XIX wieku przemysł włókienniczy. Gdy nie szło, garbarstwo. Przy tej ilości Starozakonnych nie dziwią liczne organizacje społeczne w których działali. Poza tym liczne *chedery*, *jesziwy*, domy modlitwy. I jak się doliczyłem – cztery synagogi. Synagoga Stara, do której nie dotarłem. Nie istnieje. Jej miejsce zajęła Wielka. Także nieistniejąca. Bezskutecznie szukałem kręcąc się wokół ruin. Właściwie tylko miejsca gdzie stała. Nikt z mieszkańców nie potrafił wskazać go dokładnie. Synagoga Kaukaska, z której uczyniono obecnie Gminny Ośrodek Kultury.

Synagoga chasydów ze Słonimia. Trafiłem tam dzięki informacji kobiety spotkanej na rynku. Nie wpadłbym na pomysł, żeby dotrzeć ścieżynką, między ogrodzeniem dwóch posesji. By ją obejrzeć dojechałem po „kocich łbach” ulicy Czystej. Gdyby nie przewodnik, w życiu bym nie wiedział, co mieściło się w obecnym magazynie pasz.

Widziałem litografię Napoleona Ordy przedstawiającą dwór Pusłowskich w Słonimiu. Okazało się, że chodzi o to miasto. Dziś należy do Białorusi. Kiedyś do Wielkiego Księstwa Litewskiego i Rzeczypospolitej. Miejsce zwoływania sejmików generalnych, powiatowych. Z licznymi nadaniami królewskimi, bogatą historią. Zasłużone i najpiękniej rozkwitające za czasów hetmana wielkiego litewskiego Michała Ogińskiego. Z pałacami, parkami, teatrem, drukarnią. Licznymi świątyniami wszelkich wyznań: katolików, muzułmanów, prawosławnych i judaistów. Stamtąd właśnie pochodziła znana i w Izraelu linia cadyków, z chasydzkiej dynastii Weinbergów. Fundatorów i budowniczych synagogi z ulicy Czystej 10 w Krynkach.

Pojeździłem trochę po miasteczku. Podjechałem pod zadbane kościoły. Zamknięty na głucho. Pod odnowioną cerkiew. Zamkniętą. Na cmentarz chrześcijański, gdzie zgodnie trwały nagrobki łacinników i prawosławnych. Na końcu chciałem obejrzeć kirkut. Także nic z tego. Wąską drogę dojazdową zawałały kamienie, tworzące niegdyś cmentarny mur. Z daleka zrobiłem zdjęcie bielących się macew. Z dziwną wieżą w tle. Za parę chwil jechałem dalej drogą numer 674. Miałem za cel, kolejny po kruszyniańskim, meczet w Bohonikach.

Dojazd do wsi wiódł urokliwą drogą. Co chwila fotografowałem okolicę. Pofałdowana, porośniętą krótką trawą, z pasącymi się końmi. Wielkie było moje zaskoczenie. Zza kolejnego wzgórza wyłoniła się ogromna maszyna zanurzona w ziemi. Kopalnia żwiru, piasku i kruszywa. Hałas, kurz, dysonans w tej scenografii.

Wież malutka. Meczet odmienny od tego z Kruszynian. Nie zawierała w sobie architektonicznej mieszaniny. Świeżo po remoncie, oszalowany jasnymi deskami, z nowym, zielonym dachem. Mały sześcian, usytuowany w tym miejscu w latach 70-tych XIX wieku. Pierwszy meczet w Bohonikach stał gdzie indziej, bliżej cmentarza. Był starszy o wiek.

Moją uwagę zwróciła tablica obok. Opisana po polsku i arabsku: Dom Pielgrzyma. Zostałem tam przyjęty jako pielgrzym. Po jeździe w dusznym, upalnym dniu pozwolono mi skorzystać z prysznicza. Z wyłącznie lodowatą wodą, ale w podróży? To niewysłowiona rozkosz. Po ablucjach, wyświeżony i zrelaksowany, dowiedziałem się; mogę zjeść obiad. Wedle zapewnień pań urzędujących w obszernej i nowoczesnie urządzonej kuchni, potrawę regionalną o proveniencji tatarskiej. Z wołowiny lub baraniny. Zacząłem się roztkliwiać. Czar prysł szybko. Nie miałem dostatecznej ilości gotówki. Wyrafinowaną tatarską torturą była niemożność zapłacenia kartą. Pozostawało mi wyjść okrucy z dna sakw. Skorzystałem z okazji i obejrzałem wystawę dzieł malarskich, artystki z poblis-

skiej Sokółki. Plusem był brak opłat za wejście do wielkiej świetlicy. Jej ściany obwieszono martwą naturą poczynioną w oleju. Napawałem swe oczy jesiennymi barwami kwiecia w wazonach i bez. Strawa dla oczu i duszy, przyjmowana na pusty żołądek, nie była w stanie nasycić.

Ruszałem z Bohoników z niepokojem obserwując niebo. Upał trwał, ale nieboskłon za mną nie był już tak przyjaźnie błękitny. (...)



„... Szczególnie urokliwe były przydrożne, drewniane krzyże prawosławne...”



„... Objechałem wielką wodę od zachodu i północy. Jechałem przez Bondary, Rybaki i Bachury. Szukałem skrótu... (okolice zalewu Siemianówka)”



„... Nagrobki opisane cyrylicą, kolorowe. Stało ich kilkanaście. To wszystko... (Siemianówka)”



„... Festiwal krzyży był dopiero przede mną. W małej Siemianówce, do której dojechałem...”



„... drewniane krzyże, słaiały się po zakamarkach cmentarza... (Siemianówka)”



„... Niezwykle malowniczo przez zrujnowane kapitele kolumn przeświecało słońce, ukazując przedziwną urodę tego miejsca... (Jałówka)”



„... W pełnym słońcu łało się z niej najczystsze złoto. Kłuło w oczy, czyja wiara ważniejsza...
(Jałówka)”



„... Tam to nawet pasował tuwimowski tekst: „... na stacji Chandra Unyńska, gdzieś w mordobijskim powiecie... (Bobrowniki)”



„... Po wyjściu z meczetu delikatnie stawiałem stopę... (Kruszyniany)”



„... Słuchałem przewodnika, Dżemila Gębickiego. Z kitką na tyle głowy wyglądał, jakby przed chwilą odłożył gitarę i zszedł ze sceny. (Kruszyniany)...”



„... Meczet odmienny od tego z Kruszyń. Nie zawierał w sobie architektonicznej mieszanki. Świeżo po remoncie, oszalowany jasnymi deskami, z nowym dachem, usytuowany w tym miejscu w latach 70-tych XIX wieku... (Bohoniki)”



Gdyby nie przewodnik, w życiu bym nie wiedział, co mieściło się w obecnym magazynie pasz... (Krynki)”